



Jak zostałem fizykiem? Wspomnienia z profesorem Marianem Mięśowiczem w tle

Krzysztof Fiałkowski

Instytut Fizyki UJ

Kiedy na kilka miesięcy przed maturą zdecydowałem się studiować fizykę, moja rodzina wpadła w lekką panikę, bo nikt nie wiedział, na czym studia fizyki polegają. Zdarzyło się jednak akurat, że pacjentką mojego ojca została z jakimś urazem żona profesora Mięśowicza, jednego z nielicznych fizyków znanych wszystkim w Krakowie. Ojciec zapytał go więc nieśmiało, czy mógłby się ze mną spotkać i ocenić, czy ja się na takie studia nadaję. Profesor oczywiście zgodził się zaprosić mnie do domu przy Mikołajskiej, ale samą rozmowę zlecił swojemu zięciowi, Krzysztofowi Rybickiemu, jako lepiej obeznanemu z aktualnym programem studiów. Krzysztof uznał, że rokuję pewne nadzieje, ale zaniepokoił się trochę moją kompletną ignorancją w zakresie fizyki współczesnej i zaoferował krótkie korepetycje z tego tematu. Przez parę tygodni chodziłem więc na takie lekcje, które wzmocniły moje przekonanie, że dobrze wybrałem studia, a rodzinę w znacznym stopniu uspokoiły.

Ponieważ jednak żona Profesora nadal była pacjentką mojego ojca, poczuwał się on do pewnego zainteresowania moimi studiami. Podobno powiedział znacznie później Andrzejowi Białasowi: „wie Pan, ta moja żona ciągle sobie coś łamie, więc jeśli mogę zrobić jakąś przyjemność jej lekarzowi, to chciałbym sprawdzić, co z tym jego synem”. Poszedłem do niego w szczególności przed decyzją o wyborze tematyki na specjalizacji. Sam wybór specjalizacji był już dość skomplikowany: wprawdzie wyraźnie wolałem teorię, ale praktyka w krakowskim cyklotronie po III roku też bardzo mi się podobała. W rezultacie wybrałem „teoretyczną fizykę jądrową”, która obejmowała dodatkowe dwa semestry pracowni jądrowej. Teraz Profesor zapewnił mnie, że fizyka cząstek jest nadal najciekawszym tematem dla teoretyka, co ujął bardzo ładnie: „wie Pan, bo my dalej nie wiemy, co to właściwie są te cząstki, ale tacy młodzi, na przykład Jurek Bartke, to uważają, że niedługo będziemy wiedzieć”.

Na V roku wybrałem na opiekuna pracy magisterskiej Andrzeja Białasa, choć wcale go nie znałem: słyszałem tylko od mojej koleżanki z roku, Basi Gorczycey, że jest znakomitym fizykiem, który z teorii względności przerzucił się na fizykę cząstek, a teraz od półtora roku przebywa w CERNie. Bardzo byłem dumny z takiej odważnej decyzji, ale niedawno tę dumę nieco osłabił Andrzej Białas łagodnym stwierdzeniem: „nie wiem, kiedy Ty się zdecydowałeś, ale myśmy rozdzielili wasz rok między siebie już znacznie wcześniej i to ja Ciebie wybrałem”. Wynika stąd, że najlepiej wybrać tak, jak już za nas wybra-

no... Przez pierwsze miesiące opiekował się mną zresztą Andrzej Kotański, bo Białas wrócił do Polski dopiero na Boże Narodzenie.

Jako jeden z wykładów wybrałem „Fizykę jądrową wysokich energii”, którą wykladał Profesor gościnnie w naszym nowym Instytucie przy ulicy Reymonta. Wykład był bardzo ładnie przygotowany, niezbyt szybki i ozdobiony licznymi anegdotami. Wykładowca robił wrażenie bardzo zrelaksowanego, co znalazło swój wyraz podczas nagłego wyłączenia prądu: Profesor nie przerwał nawet zdania i nie skomentował zapadnięcia ciemności, tylko spokojnie mówił jeszcze minutę i dopiero potem stwierdził: „wiecie, a może teraz znaleźlibyście jakieś awaryjne oświetlenie, bo chciałbym napisać jeden wzór”. Kiedyś jednak przerwał wykład: po spotkaniu pod tablicą z jedną z polnych myszek, które jesienią uciekały tłumnie z Błon do naszego budynku. Przyjrzał się jej uważnie i stwierdził pogodnie: „o, taki nowoczesny instytut, a myszki tu hodujecie!”.

Pod koniec roku Profesor zaprosił mnie do siebie, co wprawiło mnie w konfuzję: Białas zaproponował mi nieco wcześniej ubieganie się o staż na Uniwersytecie i teraz (nie wiem czemu) wyobraziłem sobie, że Profesor może zaoferować mi staż u siebie i stanę wobec konieczności naprawdę trudnego wyboru. Zwierzyłem się z tego Białasowi, który rozwiązał problem bardzo prosto: zapytał wprost Profesora, czy chce mi coś zaproponować. Okazało się, że Profesor chciał tylko przed magisterium zobaczyć swojego „protegowanego” i zapytać, czy nadal jestem zadowolony z wyboru, w którym miał swój udział. Odbyliśmy więc bardzo miłą rozmowę, kiedy ochłonałem już ze wstydu, że byłem tak zarozumiały.

Oprócz zakończenia studiów i przyjęcia na staż w 1966 roku zdarzył się inny fakt, który potem uznałem za jeden z najważniejszych kamieni milowych w drodze od studenta do pracownika uniwersytetu. Była nim pierwsza moja wizyta na seminarium organizowanym przez Andrzeja Białasa w gabinecie Profesora w budynku C1 AGH, naprzeciw Parku Krakowskiego, na którym tłoczyłem się wśród tłumu starszych kolegów z obu stron Reymonta i z Bronowic. To było prawdziwe pasowanie na fizyka i – jak wypadło – dokonał go Profesor.